

# „Papierowy kochanek” z Elbląga

**R**ECENZJA ta — w druku mocno spóźniona — dotyczy „Papierowego kochanka” w Teatrze Dramatycznym w Elblągu. Owację, z jaką przyjęto spektakl, uza sadniały nie tylko względy na okoliczność Międzynarodowego Dnia Teatru. I tym razem — podobnie jak miało to miejsce przy poprzednich propozycjach bieżącego sezonu — okłaskiwano staranność przygotowania inscenizacji, w szczególności zaś rzetelność wykonawstwa decydującego o poziomie widowiska.

Podobać się mogło właściwie wszystko: materiał literacki utworu żartobliwie, z wdziękiem i finezją podnoszący temat wzajemnego przenikania się i wymienności poetyckiego świata uczuć i so czyste], „skrzeczającej” rzeźbywi stości; i subtelny, wieloznaczny, nie wolny od drwiny a iskrzący się wieloma odcieniami typ komizmu; i bez wątpienia owa możliwość schronienia się na dwie godziny trwania owego czarownego, te atralnego snu przed zgiełkiem spraw tego świata. Co zresztą nie stanowi ewenementu, gdyż polityka repertuarowa teatru Andrzeja Maya — o czym świadczy już drugi sezon — skutecznie zdaje się chronić publiczność przed propozycjami ostrzejszymi, szorstkimi dla podniebienia czy boleśnie dotykającymi różnych naszych czułych miejsc.

Więc i tym razem — jak to ustaliło się w zwyczaju — mamy do czynienia z propozycją niekłopotliwą i nie rozczącą sobie ambicji do manipulowania duszami odbiorców, choć posiadającą swój niewątpliwy, wysoki status literacki. Bo „Papierowy kochanek” Jerzego Szaniawskiego w adaptacji Marii Straszewskiej z wierszami Juliana Tuwima i muzyką Zbigniewa

znamieniem ostatnich sezonów elbląskiej sceny — jakże jasnkawo przeciwstawnym romantycznej stylizacyjno-repertuarowej szarpaninie teatru czasów Jacka Grucy...

To zresztą tylko stwierdzenie, nie zaś formuła opiniująca; uprzedzam, by nie było nieporozumień.

Przedstawienie, reżyserowane przez Ewę Kologórką, stanowi wyraźną egzemplifi-

## Terapeutyka pogody i uśmiechu

Górnego jest propozycja już niemal wodewilowa, nie stawiąca publiczności zbyt wielu wymagań, a obliczoną na pogodną, tycyliwie, łaskawie przyjęcie przez najszersze rzesze.

Równocześnie nie sposób nie odnotować, że w przypadku „Papierowego kochanka”, jak i poprzednich propozycji elbląskiej sceny, mamy niezmienne do czynienia z nie-naganną znajomością rzemiosła teatralnego oraz z upodobaniem do ładu i perfekcjonizmu w sensie klasycystycznym. Klasycystycznym — podkreślam — bo właśnie klasycyzm, z jego niechęcią do ryzyka i nowinkarstwa i z jego akademizmem jest coraz bardziej widocznym

kacją tej tendencji inscenizacyjnej. Jest w układzie przejrzyste, czytelne, przy tym płynne, o przemysłanej koncepcji ruchu i stopniowo przyśpieszonym tempie akcji. Jak przystało na widowisko kokie teryjnie uśmiechające się do publiczności, posiada również barwny, rozśpiewany ensemble. Niewątpliwym sukcesem reżyserki jest zestrojenie w harmonijną całość tonacji stylizacyjnie przeciwstawnych, szczególnie zaś owej papierowo-sentymentalnej, liryzującej poetyckości, którą wyznacza figura Pierrota oraz rzeźczość tonu Nelly i jej mieszczkańskiego środowiska. Znakomicie poddała się temu tonującemu działaniu cała o-

smiłosobowa obsada przedstawienia.

Podstawowe atuty wykonawstwa to wyczułcie owej charakterystycznej dla twórcy „Żeglarza” wieloznaczności prawd wyrażanych poprzez dialog i umiętność deklinowania tonów czyli posługiwanie się środkami delikatniejszej natury dla uzyskania odcieni. Materiał literacki w tym zakresie i zobowiązuje, i niesie ogromne możliwości. Nie brak tu figur kontrastu, tych ze sobą, o energiczny zarysie,

Z materiałem tą aktorzy radzą sobie nienagannie. Dotyczy to odtwórców zarówno postaci Pierrota jak i jego partnerki Nelly. Michał Sobolewski i Barbara Napierał bezbiednie odnajdują w spektaklu ów ton właściwy, który uzmysławia — z jednej strony całą papierowość, tzn. konwencjonalność książkowego kochanka, z drugiej zaś autentyczne drganie serca u dziewczyny snubującej się na nowoczesny chłód, trzeźwość i spleen.

Znakomicie zużytkował swe podstawowe atuty, tj. doświadczenie, żywy, bujny temperament, zmysł komiczny oraz świetną kondycję — Stanisław Brodacki w roli pana Hipolita. Zresztą tym razem dysponował on szczególnie pełnym dla aktorów o zmyśle charakterystycznym — materiałem literackim.

Ruchliwą parę Arlekina i Izabelli stworzyli Leszek Jancewicz i Violetta Seremak, składając w paradach na proscenium oczywiste dowody rzetelnego przygotowania techniczno-wokalnego, dowcipu, a także dojrzałości artystycznej — co godne podkreślenia szczególnie w stosunku do Seremakówny, która — choć amatorka — nie ustępuje wcale wykonawcom dyplomowanym.

O staranności opracowania aktorского najdobitniej świadczy poprowadzenie ról epizodycznych. Dotyczy to zarówno postaci Krawca — znakomicie, bo przy pomocy tak niewielu słów i gestów w pełni wykreowanego przez Zbig-

nowa Starskiego, jak i Tautbera, którego Bohdan Gierszaniń — jakby zaprzeczając swym innym interpretacjom, a więc nie uciekając się do jakichś mocniejszych środków ekspresji potrafił wyposażyć w autentyczne życie i wewnętrzne ciepło.

Na sukces złożyły się nadto — scenografia Grzegorza Morycińskiego oraz kierownictwo muzyczne Wojciecha Karpińskiego i przygotowanie wokalne Niny Karczewskiej. Prosto i lakoniczność oprawy plastycznej sprzyja ekspozycji figur scenicznych, zaś zgodne z tekstem dopełnienie wystroju wnętrza salonu mieszczkańskiego w III części służy tyleż ironicznemu unaocznieniu dążeń pana Hipolita, co i zorganizowaniu nastroju.

Przedstawienie podoba się publiczności. Zostało zresztą — co wynika z tych uwag — skonstruowane w bliskiej Teatrowi Dramatycznemu bieżącego sezonu estetyce ładności, którą — być może — z rozmysłem i premedytacją przeciwstawiają ludzie sceny „śmietnikowi” życia. Przyjął je zatem należy takim, jakim ma być w zamierzeniu i jakim jest. Że rodzi się przy tym pytanie, czy teapeutyka uniknięcia przez teatr żywego kontaktu z tym, co nazwałem „śmietnikiem”, zapowiada wzrost wpływu tej instytucji na życie kulturalne Elbląga — to już sprawa osobna, a więc i temat, którego chyba nie da się ominąć w przyszłości.

**RYSZARD TOMCZYK**